

Małgorzata
Gutowska-Adamczyk

CUKIERNIA POD AMOREM

CZĘŚĆ PIERWSZA
ZAJEZIERSCY

FRAGMENTY KSIĄŻKI



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Projekt okładki *Krzysztof Kibart*

Premiera książki: *kwiecień 2010*



02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 022 643 93 89, 022 331 91 49, faks 022 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 022 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel.: 022 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl www.wnk.com.pl

Dochodziła dziesiąta, był słoneczny lipcowy poranek. Waldemar Hryć wszedł do cukierni od zaplecza i zlustrował przeszklone lodówki. Wszystko było w porządku: ciasta i ciastka kusily wzrok, pyszny zapach unosił się daleko poza rynek, gdzieś aż na nadnyciańskie bulwary. Czyściutko ubrane ekspedientki przecierały lśniące lady. Kasjerka liczyła pozostawione wczoraj drobne. Za chwilę otworzą drzwi wejściowe i rozpoczną sprzedaż.

„Kolejny dzień marnego handlu!” – pomyślał Hryć, patrząc ze złością na wyrwane z chodnika przed sklepem betonowe płyty, ułożone w równy stosik tuż przy granicy budynku. Potem jego wzrok powędrował ku głębokim wykopom rozpoczynającym się kilka metrów od fasady cukierni i ciągnącym w głąb rynku aż do fontanny, później zaś na grupkę archeologów rozpoczynających właśnie następny tydzień rujnowania jego interesu. (...)

Wykopaliska trwały już od dwóch tygodni i nie wiadomo, jak długo jeszcze się przeciągną. Hryć poprosił ekspedientkę o potrójne espresso, by wspomóc organizm po trzygodzinnym zaledwie śnie, i zachęcająco usiadł na tarasie przed cukiernią. Miał nadzieję, że archeolodzy pójdą jego śladem, co też się wkrótce stało.

W tym samym czasie przyniesiono kilkanaście sztuk miejscowej bezpłatnej gazety „Obserwator Gutowski”.

Hryć zauważył, że archeolodzy brali pismo i coś sobie pokazywali, z satysfakcją kiwając głowami. Wstał i z szerokiego parapetu okna wystawowego wziął jeden egzemplarz dla siebie. Włożywszy okulary, spojrzal na stronę tytułową, która wielkimi czerwonymi literami krzyczała:

MUMIA W GUTOWIE!

Pierwsza z fotografii przedstawiała oparte o ścianę z mumifikowane ciało kobiety, druga zaś była zbliżeniem na bardzo stary, złoty zapewne pierścień z wygrawerowanymi trzema gwiazdami. Zdumiony mężczyzna omal nie krzyknął. Z trudem opanowując drżenie rąk, otworzył gazetę na artykule dotyczącym odkrycia:

W dniu wczorajszym grupa archeologów z Muzeum Regionalnego w Płocku, poszukująca śladów kultury ceramiki sznurowej sprzed dwóch tysięcy lat, odnalazła na rynku w Gutowie fragment podziemnego korytarza, łączącego prawdopodobnie dawny zamek z farą, zbudowanego, jak się ocenia, w XV lub XVI wieku. W odkrytym korytarzu natrafiono na szczątki kobiety, zmarłej prawdopodobnie przed około pięćdziesięciu laty. Miała ona na palcu bardzo stary pierścień, którego wiek archeologowie z grupy poszukiwawczej szacują na kilkaset lat. Czy poznamy tajemnicę kobiety i pierścienia? W tym celu do naszego miasta ma wkrótce przyjechać najlepszy znawca kultury materialnej Mazowsza w wiekach średnich, profesor Dobrzyński z Uniwersytetu Warszawskiego.

Nie dopiwszy kawy, Waldemar Hryć wbiegł na górę, do mieszkania matki. Przejęty, nie zdjął butów, tylko poгнаł do szafki z albumami. Wertując jeden po drugim, przerzucał kartki, dopóki nie znalazł zdjęcia, na którym jego dziadek, Paweł Cieślak, trzyma w dłoni taki sam pierścień. Fotografia z gazety, przedstawiająca zbliżenie pierścienia, nie pozostawiała żadnych wątpliwości: obie ozdoby były identyczne. Miały te same rysy i jednakowe charakterystyczne wygięcia.

Mężczyzna oddychał ciężko, w zdenerwowaniu przygryzając wargi. Wreszcie wyszeptał z rozpaczą:

– Wszystko przepadło! (...)

1895

Prawie równo sto lat wcześniej, w ponurą Wigilię Narodzenia Pańskiego 1895, w odległych o kilka tysięcy mil zakątkach świata dwie kobiety obdarzyły Tomasza Zajezierskiego potomkami płci męskiej. Nie było w tym nic szczególnie dziwnego: hrabia, pan na Zajezerzyczach, Jeziorce, Sianowie, Lubomirach, Wólce Sianowskiej, Woli Małej i Wielkiej, Ruszczyńce, Celinowie, Zadolu i Pleci, był mężczyzną tak atrakcyjnym, jak jurnym i rozsiewał swe geny szczerze, pozostawiając zhańbionym matkom troskę o los pańskiej progenitury.

Często kończyło się to przypadkowym odnalezieniem noworodka utopionego niczym ślepy kociak w pobliskiej Rudawce, zaplątanego w przybrzeżne szuwały. Czasem

panna ratowała się pomocą usłużnej babki, usuwając poczęte w niej życie, pamiątkę przypadkowego spotkania na polu, w lesie czy sadzie. Bywało też, że zaopatrzona na drogę, szukała szczęścia w Gutowie, Płocku albo Warszawie, gdzie nikt jej nie znał i wstyd zhańbienia wydał się mniejszy.

W tym konkretnym przypadku jednak hrabia zainteresował się przelotnie porodem, jako że jedną z położnic, tą, o której wiedział, była jego ślubna małżonka, a urodzone przez nią dziecko miało zostać pierwszym dzieckiem i prawowitym spadkobiercą klucza zajezierskiego, piątym hrabią tego nazwiska.

(...) Płacz noworodka rozległ się w chwili, kiedy zdusił wreszcie w popielniczce końcówkę cygara, ucinając tym samym niewczesne spekulacje dotyczące przychodzącego właśnie na świat swego pierwszego dziecka.

Już miał sięgnąć ręką po najodpowiedniejszą lekturę w tak podniosłej chwili: *Dzieje* Tacyta, gdy z buduaru małżonki znów dobiegł dźwięk, który mógł być zarówno miauczeniem kota, jak i kwileniem niemowlęcia.

(...) Od syna (nie daj Boże, by urodziła się dziewczynka!) oczekiwał wołania zdobywcy, okrzyku wojennego, trąb i fanfar. Tymczasem dziecko wyraźnie skarżyło się na trudy drogi na świat i oczekiwało współczucia, ciepła oraz miłości. Tych uczuć hrabia u mężczyzny nie uznawał i nie zamierzał nigdy tolerować.

Tak już miało zostać na zawsze: Paweł nie spełniał oczekiwań ojca. (...)

Rozczarowanie własnym dzieckiem, w którym nie widział materiału na rasowego mężczyznę, burzyło Zajezierskiemu seniorowi wiele życiowych planów. W dodatku matka utwierdzała w dziecku odruchy dewocyjne, jakby chciała uczynić zeń księdza! Jej usiłowania były ciosem, który mocno nadwerżył miłość rodzicielską ojca, ale też nie pozostał bez wpływu na to, co działo się, a raczej nie działo, w małżeńskiej sypialni.

Zapały męża hrabina traktowała z podejrzliwością, godząc się na nie raczej *ad maiorem Dei gloriam* niż dla własnej przyjemności. Seks poznała dopiero podczas nocy poślubnej, która była dla niej ciągiem nieprzyjemnych zdziwień. Uznała go wtedy bardziej za brudne zwierzęce wynaturzenie niż wyraz miłości, ta bowiem jawiła się jej tylko jako uczucie platoniczne. Dawno już zresztą Adrianna obdarzyła nim dozgonnie księdza Walerego Markowicza, proboszcza z Cieciorki, przyjaciela swego z dzieciństwa i obecnego spowiednika, ciesząc się i dziękując Bogu, że kuria w dobroci swej przydzieliła mu parafię tak bliską jej obecnemu miejsca zamieszkania.

Małżonkowie udawali się więc zazwyczaj na spoczynek do swych prywatnych sypialni i spotykali się prawie wyłącznie podczas posiłków. A ponieważ nikt się na taki stan rzeczy specjalnie nie uskarżał, Paweł pozostawał wciąż ich jedynym dzieckiem.

Na razie sprawa sukcesji, wciąż odkładana na później, nikogo aż tak bardzo nie zaprzętała. Hrabia miał zaledwie trzydzieści sześć lat i mógł spłodzić jeszcze

wielu potomków. Tylko starsza pani Zajezierska, wdowa po Henryku, ojcu Tomasza, raz po raz napomykała o tej istotnej ze względów rodzinnych sprawie. Istniała bowiem stara przepowiednia, którą praprababka Tomasz usłyszała przed wieloma laty od starej Cyganki jako zapłatę za pół bochenka chleba, pęto kielbasy i garnek mleka. Ta zła wróżba, powtarzana w każdym pokoleniu, budziła jednakże zdumienie: prastary ród Zajezierskich zginie, gdy pan na Zajezierzycach będzie miał dwóch synów o tym samym imieniu. (...)

1864

*T*ymczasem w Zajezierzycach starano się żyć normalnie. Choć dookoła szalał terror, władze wysiedlały ziemian i skazywały ich na wygnanie, do Zajezierzyc nikt nie zaglądał, nie przyszło żadne pismo urzędowe z powiatu. Wokół rodziny zaległa trudna do zniesienia cisha. (...)

Codziennie przed zaśnięciem młoda hrabina robiła w myślach listę rzeczy, które należy zabrać w razie ewentualnej zsyłki. Kilka kufrów poleciła zawczasu spakować na wszelki wypadek. Prerażona sytuacją i nie mając w nikim oparcia, doglądała swych trzech córek, z których najstarsza miała zaledwie pięć lat. Myślała o tym, by wywieźć je w bezpieczne miejsce, do swych rodziców lub krewnych, ale czuła jakiś nieuświadomiony lęk, coś

jej mówiło, że gdy tylko przekroczy bramę pałacu, zdarzy się coś strasznego i nie będzie już miała dokąd wrócić.

Wreszcie w marcu czy na początku kwietnia dostała oficjalne pismo wzywające do złożenia wyjaśnień w sprawie śmierci teścia. Chowając jak największą świętość świadectwo zgonu Konstantego Zajezierskiego, ruszyła w drogę, pożegnawszy się z córkami, mężem i teściową, jakby już nigdy nie miała ich zobaczyć. Jechała długo przez rozmiękłe drogi, robiąc w duszy rachunek swego życia, bo była przekonana, że to jej właśnie przyjdzie zapłacić za udział teścia w powstaniu.

Takoz się nie pomyliła.

Przez dwie godziny od zameldowania Toroszyn nie znalazł czasu, aby ją przesłuchać. Zmierzchało już, a ona, od śniadania nie mając niczego w ustach, czekała ze strachem na swój los. Jedynym pocieszeniem był różaniec, подарowany jej w dniu dwunastych urodzin przez ojca, Jana Sokołowskiego, jako pamiątka z podróży do Ziemi Świętej. Siedząc po ciemku w korytarzu, odmawiała dziesiątkę za dziesiątką, a złe myśli podsuwały jej obrazy zsyłki.

Wreszcie służący przyniósł świeczkę i bez słowa ustawił na parapecie. Parę dziesiątek później otworzyły się drzwi i stanął w nich ten sam chłopak.

– Warwara Janowna!¹ – powiedział i wskazał jej ręką wewnątrz.

¹ Barbaro Janowno! (ros.).

W skromnie oświetlonym, wysokim gabinecie, za olbrzymim biurkiem, siedział Toroszyn. Na widok gościa nawet nie wstał, udając, że przegląda jakieś papiery. Wreszcie podniósł wzrok, robiąc przy tym głośny wydech:

- Warwara Janowna, pozdrawiliaju²!
- Jestem Barbara Zajezierska – odparła.
- Waszewo otca zowut Jan³?
- Jan.
- Nu, tak wy Warwara Janowna.

Nie odpowiedziała, a Baszkir patrzył zachłannie, upajając się jej przerażeniem.

- Warwara Janowna, u was syn jest⁴?
- Mam tylko córki.
- Poczemu wy nie goworitie po ruski⁵? – warknął.
- Nie znam rosyjskiego.

Kłamała, znała rosyjski bardzo dobrze. *Eugeniusza Oniegina* i inne wiersze Puszkina czytywała w oryginale, jednak uznała, że nie będzie się płaszczyć przed wrogiem, choćby ją to miało wiele kosztować.

– Nu da... – Baszkir westchnął ciężko. – Choroszo. Konstantin Bonifacowicz eto wasz swiokor⁶?

– Konstanty Zajezierski nie żyje – powiedziała najspokojniej, jak tylko mogła. – Zmarł na serce.

Z woreczka zawieszzonego na piersi wyjęła świadec-

² Barbaro Janowno, witam pania! (ros.).

³ Ojciec pani ma na imię Jan? (ros.).

⁴ Ma pani syna? (ros.).

⁵ Dlaczego pani nie mówi po rosyjsku? (ros.).

⁶ Taaak... Dobrze więc. Konstanty, syn Bonifacego, to pani teść? (ros.).

two zgonu teścia w wyniku apopleksji i położyła na biurku Toroszyna. On wziął do ręki dokument i przeczytał uważnie, zagryzając wargi.

– Ilija Wadimowicz Koliuczkin eto choroszyj wracz... – powiedział. – My jewo znam. On dziengi lubit przydzie wsiewo. Skolko wy jemu zaplatili? Piatsot rublije? Bolsze⁷?

Barbara Zajezierska zrozumiała, jak mało wart jest dokument, który miał chronić ją i jej rodzinę.

– Czego pan chce? – wyszeptwała, nie patrząc mu w oczy.

– Czewo ja choczu? Czewo możet żelat' zachwaczik? Kak wam każetsja⁸?

Słyszając to, zrozumiała, że Toroszyn usłyszał wtedy jej szept.

– Nie wiem.

– Wy oczień krasiwaja żeńszczina. Żalko, szto b' wy byli dołżny w Sibir' ujezrat'. Tri doczki, samyje maleńkije i muž s uma szedszyj. Żalko. Nu, sztoż mnie dziełat'? My znam, szto Konstantin Bonifacowicz pogib ot rużejnoj puli, Warwara Janowna. My eto znam...⁹ – rzekł jakby ze smutkiem i oddał jej dokument.

⁷ Ilija Wadimowicz Koliuczkin to dobry lekarz. Znam go. Najbardziej ze wszystkiego kocha pieniądze. Ile pani mu zapłaciła? Pięćset rubli? Więcej? (ros.).

⁸ Czego ja chcę? Czego może chcieć zaborca? Jak się pani wydaje? (ros.).

⁹ Jest pani bardzo piękną kobietą. Szkoda, by musiała pani wyjechać na Syberię. Trzy maleńkie córki i mąż wariat. No, ale co robić? Wiemy, że Konstanty, syn Bonifacego, zginął od kuli, wiemy (ros.).

– Co pan chce zrobić?
– Eto zawisit tolko ot was, grafinia¹⁰.
– Nie rozumiem.
– Skoro ja zachwaczik, wy plennica, da? Wy znajecie, szto wasza sud’ba zawisit od mojewe rieszenia¹¹?
– Wiem.
– I ja rieszył, szto wy nie ujezrzali w Sibir¹².
Nie śmiała mu dziękować. Wiedziała, że to jeszcze nie koniec targu.
– Czego pan chce w zamian?
– Czerez dwie niedzieli wy ujedziecie w Warszawu. Wy posielities’ w Jewropiejskoj Gostinice i budzietie żdat’ mojej wstriecci¹³.
– Ja nie mogę tak nagle... – próbowała się bronić.
– Wy priedpoczitajecie Sibir? Choroszo¹⁴.
– Nie! Nie... Zgoda.
– Do swidanija, Warwara Janowna! Oczień rad, szto my nakoniec poznakomilis¹⁵!

Barbara Zajeziarska wyszła z gabinetu Toroszyzna bez słowa. W korytarzu zakręciło się jej w głowie. Na dworze było już całkiem ciemno. Bryczka z woźnicą Michałem,

¹⁰ To zależy tylko od pani, hrabino (ros.).

¹¹ Jeśli jestem zaborcą, pani jest moją niewolnicą, prawda? Wie pani, że jej los zależy od mojej decyzji? (ros.).

¹² Zdecydowałem, żeby pani nie musiała wyjeżdżać na zesłanie. (ros.).

¹³ Za dwa tygodnie pojedzie pani do Warszawy. Zamieszka pani w Hotelu Europejskim i będzie oczekiwała spotkania ze mną. (ros.).

¹⁴ Woli pani Syberię? Proszę bardzo. (ros.).

¹⁵ Do widzenia! Bardzo się cieszę, że wreszcie się poznaliśmy! (ros.).

drzemiącym na koźle pod nastawioną budą, stała nieopodal. Kobieta wsiadła, dała znać woźnicy, by ruszał, i zaczęła gorączkowo analizować to, co usłyszała. (...)

Dwa tygodnie minęły bardzo szybko. W połowie kwietnia, pod pretekstem odwiedzin dalekiej krewnej, ruszyła do Warszawy. (...)

Zabierając ze sobą tylko jedną służącą, swoją pannę wyprawną, Adelę Filipek, bez której nijak nie potrafiłaby się obejść chociażby przy czesaniu czy wiązaniu gorsetu, i minimalny bagaż z dobrze ukrytymi w drugim dniu kufra kosztownościami, umówionego dnia pałacową bryczką Barbara Zajeziarska dojechała do poczty w Gutowie.

Odprawivszy woźnicę, z pewnym niepokojem oczekiwiała na dyliżans. Wiele rzeczy robiła wtedy po raz pierwszy i sama. Pocieszała się jedynie, że Toroszyn jest człowiekiem honoru, a przede wszystkim tym, że warto wydać każdą kwotę, by uniknąć zsyłki na Sybir. Była wiosna 1864 roku.

Do Warszawy dotarły późnym wieczorem. Barbara Zajeziarska dziękowała w duszy Bogu, że Toroszyn nie wybrał na miejsce spotkania innego hotelu. Hotel Europejski znajdował się niedaleko stacji pocztowej. Wzięła dorożkę i szybko znalazła się na miejscu. Szczęśliwa, że podróż upłynęła w miłym towarzystwie i bez przygód, wkrótce zasnęła w swoim pokoju, nie zastanawiając się, co ją tu spotka.

Następnego dnia rano zapytała w recepcji o Toroszy-na, w hotelu nie było jednak gościa o tym nazwisku. (...)

Toroszyn pojawił się trzeciego dnia wieczorem. Przyszedł wprost do jej pokoju. Zamknął za sobą drzwi, zasłonił okna i rzucił obcesowo:

– Rozdziewajties'!¹⁶

– Słucham? – zapytała zdumiona, myśląc, że się prześluszyła.

– Sdziełajetie eto sami, ili wam nużna maja pomość?¹⁷ – fuknął.

Barbara Zajezierska struchlała. Dopiero teraz pojęła grozę sytuacji: jest w obcym mieście, sama, zdana na łaskę i niełaskę mężczyzny, który jej nienawidzi i który chce ją pozbawić nie tylko pieniędzy, ale także czci.

– U mienia dziengi! – powiedziała nagle po rosyjsku.

– Mnogo dzienieg!¹⁸...

– Ocień choroszo!¹⁹

– Wy by chocieli soszczitat'²⁰?

– Potom, krasawica. Potom!²¹ – powiedział i zaczął rozpinąć guziki surduta.

Patrzył, jak struchlała śledzi każdy jego gest, i napał się jej lękiem. Kiedy stał już w samych spodniach, a ona wciąż jeszcze się nie poruszyła, zapytał z ironicz-
nym uśmiechem:

¹⁶ Niech się pani rozbiera! (ros.).

¹⁷ Zrobi to pani sama czy mam pani pomóc? (ros.).

¹⁸ Mam pieniądze. Dużo pieniędzy... (ros.).

¹⁹ Bardzo dobrze (ros.).

²⁰ Chciałby pan policzyć? (ros.).

²¹ Później, piękna, później (ros.).

– Gordaja polka łożytsja w krowat' nie snimaja płat'je?²²

Podszedł do niej, ujął za łokieć, odwrócił i zaczął rozpinąć haftki sukni, a ona stała sparaliżowana strachem, klepiąc zdrowaśki. Miała nadzieję, że oddanie Matce Boskiej tego cierpienia umniejszy cokolwiek związany z nim grzech śmiertelny. On tymczasem zsunął z jej ramion suknię i z niejakim trudem jeden po drugim rozpiął guziki bucików.

Barbara mocno zacisnęła oczy, mamrocząc pod nosem modlitwę, a on całował ją delikatnie w szyję, łaskotał wąsami i rozsznurowywał gorset. Potem, jedną po drugiej, wyjmował szpilki z koka, aż włosy spadły na ramiona radosną kaskadą. Choć jeszcze wciąż w bieliznie, Barbara czuła się naga. Niechciane lzy płynęły jej po policzkach, poddawała się biernie, drżąc, nie wiadomo, ze strachu czy z rozkoszy.

– Wy moja plennica!²³ – wyszeptał i zdmuchnął świecę, jakby nagle uszanował jej wstyd.

A potem dokończył rozbierania i pociągnął ją lekko za rękę w kierunku łóżka. W nieprzeniknionej ciemności szła krok za krokiem, depcząc po sukniach, szpilkach do włosów, potykając się o buty, zniewolona i bezwolna. Baszkir usiadł na łóżku i posadził ją sobie na kolanach. Nieśpiesznymi ruchami głaskał jej plecy, pośladki, uda,

²² Harda Polka kładzie się do łóżka, nie zdejmując sukni? (ros.).

²³ Moja niewolnica! (ros.).

brzuch i piersi, dopóki nie usłyszał, że oddech Barbary przyśpiesza. Wtedy, wciąż trzymając ją w objęciach, położył się.

Leżała na nim, na obcym mężczyźnie, wiele mil od domu, w nieznanym mieście. Jego pragnienie rosło, potężniało, on sam mruzczał coś niezrozumiale. Wreszcie poczuła go w sobie. Krzyknęła zduszonym, niechcianym, rozpaczliwym krzykiem. Baszkir pogładził ją po włosach i zaczął całować. Nie robił nic więcej, ale nabrzmiewał w niej i już nie mogła mu się oprzeć. Zaczął i on drzeć, leciutko poruszał się, potem przyspieszył.

Pragnęła go nienawidzić, bo robił rzecz straszną: na zawsze pozbawiał ją czci. Nigdy już nie będzie miała odwagi, by spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć: „Jestem uczciwą kobietą!”. W jednej chwili ten okrutny człowiek zabierał jej to, co miała najcenniejszego. Cóż wobec tej straty znaczą wszystkie pieniądze i klejnoty, które przywiozła?

A jednak pośród tych myśli ciało Barbary zaczęło nagle wbrew niej samej reagować na pieszczoty. Godzinę temu najchętniej zabiłaby Baszkira z zimną krwią, teraz omdlewała, myśląc, by tylko nie przerywał. Przeklina siebie i jego, ale chce, by ranek nigdy nie nadszedł. Już jest jego współniczką, porusza się wraz z nim w tym samym rytmie, kurczowo przyciąga do siebie jego olbrzymie ciało, wyszarpuje zeń rozkosz, czując, jak on w tej samej chwili eksploduje w niej serią urywanych szlochów. (...)